

Między Warri a Maidogurri

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

Mało brakowało, abym pobyt w Nigerii zaczął od więzienia, oskarżony o nieznamość przepisów drogowych i obrazę władzy. Ciemnoskórzy kierowcy wyglądają na pierwszy rzut oka na bardzo grzecznych i kulturalnych i są takimi w większości. Zmuszeni do gwałtownego hamowania, gdy im ktoś zajedzie drogę, przyciskają pięć rozczapierzonych palców do przedniej szyby. Arabowie w podobnej sytuacji wykonują ręką wahadłowo-rytmiczny gest — *szweja, szweja*, co oznacza — powoli, powoli, dodając do niego uśmiech. Ci, w Afryce zaś gestykulując miny mieli nieco bardziej ponure. Ale co kraj to obyczaj. Wrodzona dociekliwość nakazuje mi upewnić się. Indagowany na tę okoliczność kolega, którego tropikalny staż był znacznie dłuższy, autorytatywnie stwierdził: dłoń przyciśnięta do szyby oznacza, że zamierza się jechać prosto. Nie zweryfikowałem tej informacji. Przyszło mi za to wkrótce drogę i to w nairach zapłacić. Camp budowniczych rurociągu rozbito niezbyt daleko od Jos.

Gdy już oswoiłem się jako tako z warunkami, klimatem i topografią, postanowiłem odwiedzić pocztę. Na pierwszym większym skrzyżowaniu policjantowi regulującemu ruch przyciskając dłoń do przedniej szyby samochodu przekazałem informację, że zmierzam jechać prosto! Udał, że nie dostrzega. Przepuszczając pojazdy z prawa i lewa odwrócił się tyłem. Gdy powtórzyłem po raz drugi i trzeci ten sam gest, zauważyłem u sąsiada z zatrzymanego obok pojazdu coś w rodzaju drwiącego uśmiechu. Policjant wyglądał na z lekka osłupiałego. Opuścił ręce wzdłuż ciała i zbliżywszy się z groźnym wyrazem twarzy poprosił o dokumenty polecając mi jednocześnie, abym zjechał na bok. Co u diabła? Znaczek z dowodem ubezpieczenia był regulaminowo przyklejony do przedniej szyby. Na czerwono pomalowany landrover z białym kwadratem opatrzonym napisem ILF Consulting Engineers nie pozwalał mieć wątpliwości kim jestem. A tu nagle taki afront. Drobiazgowa kontrola papierów wozu, paszportu, wstemplowanych wiz, prawa jazdy, ubezpieczeń. Grono mundurowych zwiększyło się o paru następnych przedstawicieli sił porządku publicznego. Sprawdzają kierunkowskazy, światła stop, opony, w końcu pytają dokąd jechałem i nie doczekawszy nawet odpowiedzi polecają natychmiast opuścić miasto. Samochód ma być zatrzymany do rozprawy sądowej. Nie nie rozumiem co się dzieje. Najstarszy stopniem policjant w elegancko odprasowanym mundurze nienaganną angielszczyzną autorytatywnie stwierdza, że dostanę prawdopodobnie pół roku odsiadki, a po jej zakończeniu natychmiast będę deportowany. Za obrazę władzy!

Tłum pomrukuje groźnie. Białej twarzy w nim nie widać. Zaczyna mi być podwójnie gorąco. Bardzo gorąco było już od bladego świtu. Władza widząc, że przestępca skruszał, nieco się rozpogadza i oświadcza, że jedziemy. Uff, nareszcie. Mijamy jedną przecznicę, drugą, trzecią. Na dłuższy postój zatrzymujemy się przed kwaterą policji. Po paru kwadransach ruszamy dalej. Próbuję nieco innej linii obrony. Opowiadam skąd przyjechałem, i że nie należę do narodu kolonialnego, i że bardzo kocham ciemnoskórych ludzi. Tych umundurowanych w szczególności.

Wyobraźnia pracuje intensywnie. Co tu jeszcze wymyślić. Niech już będzie ta deportacja, jeżeli musi być, ale od razu, bez odsiadki. Spod oka łypię na mego pogromcę. Jakby się trochę rozluźnił. A może on tylko taki drażliwy i oczekuje przeprosin? Zaczynam standardowym — *I am sorry*. Przerzywa w pół zdania. *O. K. Can we settle our problem?* Nie bardzo zrozumiałem. Jaki znowu problem mamy rozwiązać? Władza wielkodusznie stwierdza, że w zamian za rezygnację z oskarżenia gotowa jest obdarzyć mnie odpowiednio wysokim mandatem, grzywną lub czymś w tym rodzaju. O, to zabrzmiało już bardzo swojsko. Ile? Pada astronomicznej wysokości suma stanowiąca prawie całą moją miesięczną pensję. Ze swej strony proponuję kwotę wielokrotnie mniejszą. Wyraz głębokiego obrzydzenia i zawodu na twarzy jest odpowiedzią. Nieco podnoszę stawkę. Obrzydzenie się zmniejsza. Kończy się na 50 nairach. Całe 5 butelek Johnny Walkera. Gdy już opróżniłem portfel, postanowiłem zapytać o co naprawdę poszło. Nauczony doświadczeniami wschodnioeuropejskimi wiedziałem, że żadnych dyskusji z przedstawicielami sił porządku publicznego wszczynać nie wolno. Przynajmniej dopóki „problem” nie zostanie rozwiązany. Teraz już można, otrzymuję wyjaśnienie. Poszło o ten gest z ręką przy szybie. Jeśli chcę jechać prosto, to palce muszą być zwarte, zwarte rozumiano, i to ręki prawej. Lewa ręka jest nieczysta, bo służy do pewnych operacji religijno-higienicznych powtarzanych rytualnie przez wyznawców Allaha 5 razy dziennie. Większość mieszkańców

północy tego kraju to muzułmanie. Pokazanie komuś wszystkich rozczapierzonych palców lewej ręki znaczy mniej więcej: ty taki owaki, miałeś pięciu ojców, którzy zabawiali się z twoją mamusią. W zasadzie hańbę takiej obrazy może zmasać tylko krew. I często zmasuje. Mimo wszystko 50 naira nie było najwyższą ceną. Pokazać nigeryjskiemu policjantowi, lewą rękę z pięcioma rozczapierzonymi palcami mógł tylko samobójca. Tym bardziej, że campaniola miała wygaszony silnik.!!! Wjeżdżając na teren z trwogą przyglądam się obliczom smukłych, ciemnych ludzi o pałających oczach, Strzegli bramy. Rano pokazywałem im ten sam znak,

Zawój z czarnego turbanu, którego koniec trzymali w zębach, zasłaniał dół ich twarzy. Byli Tuaregami, obywatelami sąsiedniego państwa Niger. Synowie i wnukowie rabusi transsaharyjskich karawan. Dumni i piękni rycerze pustyni, niezrównani, odważni do szaleństwa kawalerzyści. Tajemniczy szczerp zagadkowego ludu spokrewnionego z mieszkańcami starożytnego Egiptu, pilnowali amerykańskich caterpillarów i magazynów narzędzi budowniczych długiej rury na trasie z Warii do Maidgurri. Schronienie przed żarem słonecznego dnia i chłodem nocy zapewniało im nieco zardzewiałej blachy, resztki drewnianych opakowań i podarte byle jak połączone drutem kartony. Posiłki gotowali rozniecając na ziemi ognisko. Za naczynia służyły wygrzebane ze sterty odpadków konserwowe puszki.

Tuaregowie już nie atakują. Wymierają. Cofają się na pustynię. Zapomnieli swego pisma, zapominają języka. Kobiety ich żebrzą, zbierają resztki ze śmietników, sprzedają się za grosze. Nie mogąc patrzeć na umierające z głodu dzieci emigrują w poszukiwaniu chleba tam, gdzie ich umiejętność władania mieczem, wierność raz danemu słowu, bezgraniczna uczciwość może być właściwie doceniona. Zbyteczne to luksusy w dzisiejszym świecie. Afrykańscy samuraje wieku holografii i podróży międzyplanetarnych pracy fizycznej się nie podejmą. Za żadną cenę. To hańba. W Nigerii europejskie, amerykańskie i japońskie firmy zatrudniają ich chętnie. Narzędzia pracy — długie proste miecze, o proporcjach znanych płatnerzom epoki wypraw krzyżowych, zawsze mają przy sobie. Nazywają je takoba. Zwisający z ramienia na bawełnianej, postrzępionej taśmie, są diabelnie ostre. Masowo produkują je dla zagranicznych turystów z blaszanych beczek po asfalcie. Jako suweniry. Ciemnobrązowa skóra pochw głęboko tłoczona w geometryczne ornamenty wyglansowana do połysku. Na ścianie w living room prezentuje się znakomicie.

Idi, Sidi i Mohammed zarabiali na żony. Kobiety kosztują. coraz drożej. Gdy sprezentowałem im butelkę coca-coli czy fanty, wdzięczność wyrażali zapraszając do ogniska oraz uśmiechem i gotowością z jaką otwierali bramę przed moją campaniolą. Mieli zdumiewająco piękne, o delikatnych rysach, prawie kobiece twarze, drobne, delikatne, nie nawykłe do ciężkiej pracy ręce i jakąś zupełnie niesamowitą grację w ruchach. Od czasu do czasu zdejmowali z głów turbany. Na gładko wygolonych czaszkach, jedynie z samego tyłu, prawie na karku zachowywali pęk kruczoczarnych wełnistych kędziorów. Ich strój stanowiły długie, sięgające prawie do kolan luźne niebieskie bluzy i czarne zwięzające się w kostkach spodnie. Uzupełniały go zagadkowe obszyte skórą wiszące na piersiach nieduże przedmioty. Najważniejszy, ukryty w jak gdyby pugilaresie skrawek papieru był fragmentem Koranu. Drugi, to cudowne panaceum „czarny kamień”, amulet przeciwko ukąszeniu węży. Reszta prozaiczna. Lusterko, płaska sakiewka z pieniędzmi i etui kadmowej szminki do malowania powiek. Niezbędnej profilaktyki przeciw zapaleniu spojówek, nagminnej dolegliwości mieszkańców pustyni. Konwersację z młodymi Buzu, jak ich w Nigerii nazywają, prowadziłem za pomocą mieszaniny angielskich i francuskich słów, wspomaganą gestykulacją. Codziennie przed zachodem słońca, gdy lejący się z nieba żar ustępował chładowi nocy, przy bramie odbywał się trening. Nie była to szermierka w naszym rozumieniu. Raczej wyczekiwanie, skradanie się, walka nerwów, wyobraźni, napięcie mięśni, ścięgien, skurcz, spazm i rozluźnienie. Kocie, tygrysie ruchy, przenikanie przeciwnika wzrokiem, hipnotyzowanie, zaczarowanie, otumanianie. Sekundy, minuty, kwadransy oczekiwania i... cios. Ten jedyny, morderczy, rozłupujący. Z zamachem na całą długość błyszczącej główki miecza. Poprzedzało go cofnięcie nogi do tyłu, ugięcie kolana, i niedostrzegalny, płynny taneczny zwód tułowia. Takoba jest zbyt cenna, zbyt kosztowna, zbyt piękna, aby ją niszczyć i szcerbić uderzeniami w stal. Miecz ma zabijać. Przeciwnik musi wiedzieć i wierzyć święcie, że zginie.

Pewnego wieczoru, tylko może bardziej gorącego i intensywniej brzęczącego miliardami owadzych istnień, skończyła się nasza przyjaźń. Wracając z trasy rurociągu zastałem u wjazdu do campu małe zbiegowisko. U stóp stojących leżał w brunatnej kałuży wilgoci jakiś kształt. Kadłub rozplatanego mieczem człowieka. Krew zdążyła już wsiąknąć w piasek. Złodziej. Przekradł się przez siatkę ogrodzenia do pojemników. Kucharze wyrzucali w nie resztki pożywienia.

Do palców odciętej dłoni przylgnęły resztki spaghetti. Jej właściciel nie wiedział, że nie ma żadnych szans.

Rozorana spychaczami, ubita gąsienicami czerwono-czekoladowa ziemia. Na powierzchni kilku hektarów wypalony beczkami ropy busz, wysokie, zwieńczone kolczastym drutem, solidne ogrodzenie z metalowej siatki, budki uzbrojonych strażników, jarzeniowe oświetlenie i silne jodowe reflektory zawieszane na słupach. Dwa boki przytykającego do ogrodzenia placu, zastawionego w równych rzędach paru dziesiątkami landrowerów i samochodów ciężarowych, zajmują zmontowane z klockowatych elementów biura, kuchnie i stołówka. Trzeci bok stanowi wsparta na stalowych dźwigarach, kryta czerwonym półkolistym blaszanym dachem hala warsztatów naprawczych. Za nią ciągną się magazyny, parkingi ciężkiego sprzętu i place składowe rur oraz najróżniejszych elementów opakowanych w wielkie drewniane skrzynie i opatrzonych kolumnami świecących jaskrawymi barwami cyfr. Przeciwległy kraniec ogrodzonego terytorium zapełniają szare prostopadłościennymi kontenery, ustawione rzędami tyłem do siebie i tworzące niby wąskie uliczki, z których każda ma odrębną, zaczynającą się na „via” nazwę, czysto wymiecioną wybetonowaną alejkę i mrowie długonogich, błyskawicznie wspinających się po ścianach, dość obrzydliwie wyglądających jaszczurek. Nie są to jedyni przedstawiciele miejscowej fauny. Stawiając camp dość skutecznie przepłoszono wszystkich pełzających, biegających i skaczących przedstawicieli gadzich i płazich gatunków. Nie ma jednak tygodnia, aby ktoś z czarnego personelu nie wyniósł triumfalnie na plac zwisającego po obu stronach droga od szczotki drgającego jeszcze w konwulsjach gada. Trafiały się też i te najgroźniejsze mamby — *seven steps*. Śmiertelna dawka jadu w ciele ofiary pozwala jej zrobić tylko siedem kroków. Na mambę najlepsze *dżu-dżu* nie pomaga. Pewnego wieczoru, nocując na małym campie w Abudu, zamierzałem dokonać pewnej prozaicznej czynności, do której poczyniłem już jakieś przygotowania i czułem coraz pilniejszą potrzebę. Otwierając drzwi łazienki, gdzie pomiędzy umywalnią a plastikową zasłoną kabiny z prysznicem tkwiła porcelanowa muszla WC, zetknąłem się... oko w oko z syczącą i wijącą się jej zawartością. Intruz wpłynął do środka stojącego na betonowych słupkach mieszkalnego kontenera przez pękniętą kratkę ściekową w podłodze. Pić mu się chciało. Żar tego dnia panował wielki.

Wzdłuż trasy rurociągu było kilkanaście większych i mniejszych campów, na których jeden kontener mieszkalny przypadał na cztery osoby. Każdy z lokatorów przenośnego domu dysponował własnym „pokojem” - klatką o wymiarach 2,5 x 1,5 metra z wąskim tapczanem, szafką, stolikiem i krzesłem. Metalowe odchylane na zewnątrz okno nie było otwierane prawie nigdy. Kryła je dość szczelnie zasłona z ciemnego materiału. Zapomniałem o najważniejszym — *Air conditioner* — sprzęt podstawowy i najważniejszy. Pracować musiał bez przerwy, na okrągło, całą dobę. Jeśli szumiał niezbyt głośno i jednostajnie, przyzwyczaić się można było dość szybko. Znacznie gorzej, gdy mocno wyeksploatowany, z mechaniczną czkawką, chrobotał przeraźliwie, zgrzytając i dudniąc, wprawiając w rezonans całe metalowe pudło kontenera. Kiedyś trafiłem na taki i przez całą noc nie zmrużyłem oka. Wyłączyć drania jednak nie próbowałem. Temperatura otoczenia oscylowała w granicach 40° C... nocą. O otwarciu okna nie mogło być mowy. Niestety, nie przewidziano konieczności stosowania moskitier. *Air conditioner* Westinghouse'a miał być niezawodny, ale jeśli jest włączony, okna otwierać nie wolno. W PRL przez wiele lat tej wiedzy nie posiadały sekretarki różnych ważnych osobistości z biurowców przy ulicy Kruczej w Warszawie „pomagając” klimatyzatorom przez otwarcie na całą szerokość okien gabinetów szefów. W Afryce też kupuje się prestiż, dysponując najnowszymi zdobyczami cywilizacji.

Ciężko przy ziemi snuje się tuman pyłu. Wypełnia go zduszony jęk silników, jazgot szliferek, pioruny błyskawic tryskających snopami iskier z końców elektrod i ciężki metaliczny oddech zwalnianych zacisków centrownika pneumatycznego. Skórzane, pokryte wilgotnymi czarnymi plamami potu kamizelki, długie do łokci irchowe rękawice z dwoma palcami, zasłonięte hełmami twarze. Utkwione w jeden punkt, w pełzającą kroplę płynnego żaru, oczy. Idealne zsynchronizowanie niedostrzegalnych prawie ruchów ręki trzymającej uchwyt elektrody z żywym, tańczącym po powierzchni spawanych rur płomieniem roztopionego metalu. Spokój, opanowanie, rutyna i mordercze tempo. Z pomocnikami, z towarzyszącymi spawającymi drugą połówkę tego samego złącza, z operatorami sprzętu nie rozmawiają. Porozumiewają się gestem dłoni, skinieniem głowy, uniesieniem wskazującego palca. Nikt by ich zresztą nie usłyszał w łoskocie silników, wyciu spawarek, pracy sidebomów.

Wyschnięty w zapieczonych ustach język, popękane wargi, rozsadzany hukiem maszyn mózg. W pyłe, w błocie, w tropikalnym słońcu i przenikliwym chłodzie zgięte w pałąk lub leżące na ziemi pod rurą ciała. Spawacze naftowych rurociągów, budowniczy stalowych tętnic naszego wieku. Bezdomni kondotierzy nowoczesnych technologii. Urodzeni pod kaprawą gwiazdą cyganie, wagabundzi i obieżyświaty. Bezimienni członkowie bractwa Wielkiej Rury. Wielu zazdrości im pieniędzy, samochodów, własnych pięknych domów, możliwości zwiedzania egzotycznych krajów. O morderczej, wyniszczającej, nieludzko ciężkiej pracy, o bezustannym napięciu każdego splotu nerwów i bezwzględnej konieczności stałej koncentracji uwagi wiele godzin dziennie, o szarpającej przez miesiące i lata nocami tęsknocie za własną kobietą, za alkoholem nie pamięta nikt. Tym od Wielkiej Rury pić nie wolno. Nie moralności, obyczaju czy przyrzeczeń to wymóg, lecz technologii. Gdy go złamię, tracą mistrzostwo ręki, zdolność do wielogodzinnego wysiłku. Spoina, wypełnia się na zdjęciu ciemniejszymi plamami pęcherzy, zużli, pęknięć. Nie wytrzyma wieloletniej pracy pod ciśnieniem.

Powoli pełźnie na gąsienicach, przekrzywiony na jedną stronę mastodont — dźwig boczny. Mocarne ramię wysięgnika podnosi metalową rurę ułożoną na skraju buszu. Nawleka na sterczącą z leżącego na kształt leniwego węża rurociągu sztycę centrownika, chwile, ułamki minuty pozornego bezruchu. Operacje centrowania, dopasowywania, czyszczenia, poprzedzą tę najważniejszą. Ułożenie pierwszego ściegu, połączenie dwóch rur cienkim i jakże kruchym na początku, paromilimetrowej grubości mostkiem świeżego metalu, jest dziełem spawaczy. Czołówki spawaczy! Zespołu tych najlepszych, najpewniejszych, najbardziej wytrzymałych. Para żywych robotów. Doskonałych, bezbłędnych, odpornych na pył, upał, wilgoć, wibrację, huk setek decybeli. Spawające rurociągi automaty — dzieła elektroników, mechaników, uczonych i laborantów — już skonstruowano. Pracowały na Alasce, na Syberii i na ukraińskich stepach.

Z człowiekiem, z żywym, zakutym w plastikowy hełm i skórzany kaftan robotem, wygrać im było trudno. Były też od niego znacznie delikatniejsze, wymagające troskliwszej opieki i... mniej dokładne. Czołówka rwie do przodu. Codziennie przybywa pięć, sześć, siedem kilometrów rurociągu. Czas, odmierzany narastającym nienawistnym żarem jaskrawej, białej, zawieszanej nad głową kuli, dla spawaczy nie istnieje. Jest pojęciem abstrakcyjnym. Realne są styki, spawane złącza. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści dziennie, za każde dostaną tyle a tyle dolarów. Po czterech miesiącach polecą na parotygodniowy urlop do rodzinnego Teksasu czy Arizony. Wypiją morze whisky, zapełnią pojemniki na bilon jednoręcznych bandytów - automatów do gier, kupią sobie parę białych dziewczyn z dużymi cyckami i... zatęsknią za powrotem do Wielkiej Rury.

Ich lokalni pomocnicy; czarni, drobni, przerażeni ludzie o kędzierzawych, karkułowatych włosach, nie rozumieją białych drągali. Podziwiają ich spiczastonose, sięgające połowy łydki buty, połyskujące złotem zęby, hałaśliwą, bełkoczącą angielszczyznę, potężne bary. Coś musiało pomieszać się na tym świecie. Żeby biały człowiek pocił się z wysiłku, nurzał w pyłe i błocie i pracował, pracował, pracował. Nawet gdy nikt nie patrzy i nie pogania. Nieśmiało biorą na spytki jednego z czarnych spawaczy. Ale on jest obcy, tamten, cudzoziemiec, przeinaczony. Wolno mu mieszkać na campie i codziennie ma tyle *czop-czop*, ile tylko zechce.

Magiczne słowo *czop-czop*. Na jego dźwięk czarnego człowieka przenika dreszcz dziwnej rozkoszy, radość, zadowolenie, do ust napływa ślina, trzeba się uśmiechnąć. *Czop-czop* jest ważne, o, bardzo ważne, najważniejsze ze wszystkiego. Nie ma *czop-czop* - ludzie umierają, mrą jak muchy. Tylko hieny mają się wtedy dobrze. Wszystko, co się rusza, pełza, lata, pływa i biega, to *czop-czop*. Znaczący jedzenie, pożywienie. Najbardziej pożądane *czop-czop* to mięso. Z psa, szczura, gada i nawet ciągle jeszcze z.....również.

Któregoś dnia wpadła do wykopu, jeszcze zanim ułożono w nim rurociąg, fioletowo-żółta, ciemno cętkowana rogata żmija. Bezradnie usiłowała wypełznąć na górę po pionowych osypujących się ścianach. Ściagało ją przerażenie, strach i pożądanie czarnych ludzi. Poszły w ruch łopaty, bambusowe kije i żelazne łomy. Gruby, tłusty kadłub gada długo drgał w śmiertelnej agonii. Parametrowej długości cielsko ciężko zwiślało po obu stronach drąga zabójcy, otoczonego przez zafascynowany niespodziewanym... *czop-czop* tłum. Pociętą maczetą na w miarę równe plastry gadzinę ułożono na rozgrzanej słońcem, prawie parzącej masce mojej campanioli. Prawie natychmiast zaczął z niej spływać skwierczący tłuszcz. Zapach prawie niebiański. Każdy dostał po równym, ociekającym różową posoką kawałku, gadziny. Tak właśnie „gadziny” No bo skoro jemy cielęcinę, baraninę to chyba nie będzie protestował dr Miodek gdy napiszę że jadłem „gadzinę”. Później była awantura. Głupi Amerykanie wrzeszczeli i wygrażali pięściami, że nie miał kto podawać elektrod i podtrzymywać drugiego końca rury

przy centrowaniu. Nie pozwolili również zdrzemnąć się ociupinkę. Po takim *czop-czop*.

Wśród pipelinerów biali stanowili zdecydowaną większość. Zdarzali się jednak również hinduscy radiologowie, egipscy mechanicy, pakistańscy spawacze oraz paru czarnych Somalisów pracowników magazynów — swoje Wielkie Żarcie, gigantyczne *czop-czop*, mieli już po zmierzchu. Nazywało się dinner. Pochłaniano czubate miski spaghetti, zżerano po parę sztuk grubych na palec befsztyków, zapijano litrami coca-coli, fanty i piwa. Napchany, rozdęty brzuch musiał zastąpić wszystko i większości zastępował. Włosi byli bardziej wybredni, no i dyscyplinę na swoich campach mieli mniejszą niż Amerykanie. W każdą sobotę kulinarną orgię, składającą się głównie z różnego rodzaju potraw na bazie makaronowej, z spaghetti na czele, uzupełniali „czekoladami” z najbliższego „Night Clubu”. Pertraktacje nie trwały długo. Często ograniczały się do sprawdzenia, czy „czekolada” ma, czy też nie ma łechtaczki. Taryfa była stała: 15-20 naira. Brak szczegółu damskiej anatomii, wyciętego w okresie dziewczęcej inicjacji przez rodziców muzułmanów lub chrześcijan, jeśli dziewczyna była z plemienia Ibo, czynił „czekoladę” tańszą.

Z Dżos na trasę rurociągu jechało się dość długo. Najpierw wysypaną żwirem i ubitą walcem drogą gruntową, w której gdzieś ostatnia pora deszczowa wyłobowała łożyska niedużych strumieni. Na wysokości ni to wsi, ni to osady, ulepionej z glinianych, krytych falistą blachą zabudowań należało skręcić w prawo na niedawno ukończoną, pokrytą doskonałym asfaltem obwodnicę. Ruch na niej zawsze panował duży. Większość stanowiły olbrzymie ciężarówki, wiozące materiały, elementy budowlane i sprzęt wojskowy do Bauczi i dalej na wschód w rejon pogranicza z Czadem i Kamerunem.

Tam gdzie wzgórza uciekały w bok, łagodniały, niepostrzeżenie przechodziły ni to w busz, ni to w sawannę, można było dostrzec żółto-czekoladową wstęgę. Szejtan rzucił ją na zmaltretowaną słońcem, ulewami i pustynnymi wiatrami ziemię. Wstęgę pokoju, nienawiści i wojny. Tętnicę kraju - rurociąg naftowy. Połączyć ma położoną w pobliżu terminalu Forcados rafinerię w Warri i pola naftowe wybrzeża białafrańskiej zatoki z północą, z parkami zbiorników magazynowych w Maiduguri, Gusau, Kano. Spiać na wieki — lub do wybuchu podłożonego pod stację pomp pierwszego ładunku trotylu — terytoria Ibo z ziemiami ich śmiertelnych niedawno jeszcze wrogów, bitnymi Hausa. Dostarczać gotowe produkty — benzynę, oleje, smary dla baz wojsk pancernych, lotnisk i pojazdów. Z wielu nowych prawd, emocji, animozji i sympatii, jakimi pulsuje dziś wielki i bogaty kraj czarnych ludzi nad rzeką Niger, jedna prawda jest najprawdziwsza. Przez najbliższe dziesięciolecia o losach Nigerii, a więc praktycznie i o losach większości jej bez porównania słabszych sąsiadów decydować będą ci, których polecenia będą spełniane przez obsługujących pulpity sterownicze, pompy i zawory stalowej magistrali, tłoczącej pod ciśnieniem blisko stu atmosfer cuchnącą ciecz. Nafta nie rządzi światem. Światem nie rządzą też ci, którzy ją mają ukrytą w warstwach roponośnych skał, pod piaskami pustyń, dnem oceanów, obszarami wiecznej zmarzliny, szelfami mórz. Instalacje, technologie, know-how, środki transportu, ekipy personelu są chyba ważniejsze. Tylko że ten jeden ładunek, wiązka granatów, parę kilogramów trotylu, może wszelkie skomplikowane rachuby polityków dokładnie pokrzyżować. Wodzowie, generałowie i ministrowie wiedzą o tym od dawna. Polski I Korpus po wyjściu z ZSRR, strzegąc przed kurdyjską partyzantką brytyjskich instalacji naftowych na Bliskim Wschodzie, stracił nie mniej ludzi niż w czasie kampanii afrykańskiej czy bojów o Monte Cassino. Nigeryjski kocioł wrze. Kilka różnych, posiadających inną kulturę, mentalność, tradycje historyczne i pochodzenie etniczne narodów, kilkadziesiąt dużych plemion, blisko trzy setki języków. Dwie uniwersalne, podzielone na wiele sekt i odłamów, ale wzajemnie się zwalczające religie, resztki prastarych afrykańskich wierzeń, eksplozje świeżych ambicji, bogactwa i nędzy. Sprzeczne interesy wielkich tego świata. Niezbadane, ale wiadomo, że ogromne rezerwy surowcowe — wszystko to tworzy mieszaninę piorunującą. Już raz wybuchała milionami zmarłych w buszu z głodu i napalmu ofiar białafrańskiej secesji. Hausańska generalicja opanowała armię i sztaby, ustanawiając wojskowych komisarzy poszczególnych stanów. Brygadierzy komandosów okazali się początkowo bardziej kompetentnymi administratorami niż przywódcy plemienni czy skorumpowana i rozleniwiona warstwa świeżo wykształconych urzędników. Po blisko dziesięciu latach wojskowi zdecydowali się na eksperyment, znieśli zakaz działalności partii politycznych i ogłosili, że zamierzają przekazać władzę cywilom. Szczerze mówiąc, umundurowanym dyrektorom banków, ministerstw i państwowych przedsiębiorstw nie bardzo szło. Na poligonach nikt ich nią uczył podstaw ekonomii i teorii zarządzania przemysłem. Dochody ze sprzedaży ropy naftowej były znacznie mniejsze, niż się spodziewano. Wartość naira na giełdach światowych spadała z miesiąca na

miesiąć. Zbliżał się krach. Pod koniec 1978 roku wszystko wskazywało na to, że zachłyśnięcie się wolnością i swobodami politycznymi rychło może zamienić się w reakcję nie kontrolowaną.

Oba Auczi, emir Kano, Sardauna Sokoto, król Warri, podobnie jak setki, tysiące kacyków, tradycyjnych szefów wiosek i terytoriów pobierają od federalnego rządu w Lagos wysokie pensje, w zależności od kategorii, do której należą. Wojskowych gubernatorów i komisarzy stanów, na jakie kraj został podzielony po zakończeniu wojny domowej, nienawidzą organicznie.

Między sobą są skłócenia, należąc do różnych plemiennych związków i religijnych, zwalczających się wzajemnie, frakcji.

Mieszkańcy Nigerii, kraju trzykrotnie większego od Polski i najludniejszego, bo przeszło 100 milionowego, na Czarnym Kontynencie, tworzą mozaikę najróżniejszych plemion, ras, szczepów, narodów, religii, kultur i języków. Poprzedzany na ekranie wizerunkiem i dźwiękami tam-tamu skrót najważniejszych wiadomości w dzienniku telewizyjnym nadawano przez studio w Lagos, Kadunie, Dżos, Sokoto i Kano — poza angielskim — w dziewięciu językach: edo, efik, fulani, hausa, ibo, idžo, kanuri, tiv i joruba. Tylko w dziewięciu.

Obraz tam-tamu na ekranie telewizora symbolizuje kontynuowanie prastarych tradycji podawania szybkich i rzetelnych informacji, które zawsze w dawnych dobrych czasach były prawdziwe. Nienaganny oksfordzki akcent ubranego w narodowe abade prezentera nikogo nie dziwi. Język angielski obowiązuje w urzędach; panuje na łamach prasy; dzieci uczą się go już od najmłodszych lat. Proces scalania w jeden naród wieloplemiennej, wielowyznaniowej i wielojęzycznej społeczności byłby jeszcze trudniejszy, gdyby na przykład usiłowano wprowadzić jako obowiązujący język hausa. Muzułmańska północ nie zgadza się na wprowadzenie wzorowanego na anglosaskim systemu sądownictwa, główny opór stawiają ze zrozumiałych względów „traditional rulers” pragnący zachować szarię — jak na razie dość skutecznie. Budzi to sprzeciw schrystianizowanego południa, które już dawno przyjęło cywilny, wzorowany na anglosaskim system sądownictwa Na plażach w Lagos i Port Harcourt nie ma tygodnia bez publicznych egzekucji winnych rozboju z bronią w rękę. Kradzież ochłapu mięsa ze straganu też ukarana została śmiercią. *Dura lex sed lex.*

Czołówki spawaczy uciekły daleko, są gdzieś za Bauczi. Zbliżają się do Dżos. Toczy się po trasie kolumna izolacyjna. Codziennie doganiam ją o parę kilometrów dalej na wschód. Wiotka łodyga rurociągu, miękko ułożona na rozgrzanym piasku, poderwana do góry drga, napiera na kauczukowe, zawieszzone na dźwigu troleje. Opornie poddaje się operacji czyszczenia wirującymi stalowymi szczotkami. Zmienia barwę na pokładzie roboczym sunącej po niej maszyny. Szarość i rdzę zastępuje biel. Bezustannie wirują bębny bandażujące rurę taśmami białego elastycznego tworzywa. Szybciej, prędzej. Czarni chłopcy biegiem zrzucają ze skrzyni dostawczego samochodu ciężkie krążki białej i czarnej izolacji. Spływając potem, z nadzieją spoglądają za siebie. Horyzont ciemnieje, nabiera sino-stalowego odcienia, niesie burzę. Nadeszła pora deszczowa. Czarny rolnik. dziękuje dobrym bogom i *dżu-dżu*. Tropikalny deszcz to żywioł, groźny, przerażający, niosący zagładę. W ułamkach minut rosną, potężnieją strumienie. Nowo powstałe rzeki niosą trawę, krzaki, wyrwane z korzeniami drzewa. Rozmywają i niszczą w mgnieniu oka dzieła ludzkich rąk, zatapiają sprzęt, maszyny i zwierzęta. Rozwalają ubogie, ulepione z gliny chatynki bosych farmerów. Ciężkie, ciepłe krople zwiastują nadchodzący kataklizm. Nie ma zbyt wiele czasu na opamiętanie się i ratunek. W bezwodnej, stepowej sawannie i wysuszonym na wiór buszu częściej niż z pragnienia giną w kotłujących się brudnych odmętach zwierzęta i ludzie. Zmywana potokami ulewy rura paruje i schnie szybko, ale izolację trzeba przerwać. Spłukana wodą, wilgotna powierzchnia stali uniemożliwia nałożenie podgrzewanego w ruchomym kotle brunatnego, kleistego mazidła, zapewniającego dobre przyleganie.

W połowie roku otrzymuję polecenie zmiany miejsca pracy. Zginął mój poprzednik. Na wszelki wypadek woził z sobą krótką broń. Łakomy kąsek. Upolowano go rozciągając wieczorem stalową linę w poprzek *right of way* czyli trasy, wzdłuż której układano rurociąg. Po zmroku jeździł z przednią szybą położoną na masce. Tak było lepiej, bo nie rozbryzgiwały się na niej tysiące owadów. Nazywaliśmy je flaje. Chyba nic nie poczuł. Obciętej przez linę głowy nie znaleziono. Zajęli się nią czworonożni mieszkańcy buszu.

Na wieczorze pożegnalnym Darek znając moje słabości, a widząc zastawiony szklivem stół nie może powstrzymać komentarza::: zaczynamy nowe opowiadanie: Na Białym Koniu jechał do Nauczyciela Jasio Wędrowniczek ze Starym Przemysłowcem. W buszu whisky kosztowała o dwa naira na butelce drożej. Generalnie potępiając paskudnych kolonizatorów w

duchu przyznawałem im rację, że ona właśnie najlepiej odkażała przewód pokarmowy i zabezpieczała też przed malarią. Bujna czekoladowa piękność, u której uzupełniałem antymalaryczne zapasy, miała na składzie również guguuru, czyli wino palmowe, nazywała je Biafra gin. Znacznie tańsze. Kosztowało tylko 60 kobo za ćwiartkę. Ale głowę należało odwracać przy picciu w drugą stronę. Odór miało straszny.

Nowy, szef nie darzył mnie sympatią od momentu, kiedy opowiedziałem parę znanych dość szeroko nad Wisłą kawałów z cyklu pyta Icek rabina. O tym, że obok austriackiego i brytyjskiego posiada również paszport izraelski, nie wiedziałem. Chłopaki ochrztili go Krasnal. Mocno pod sześćdziesiątkę, siwiejąco-łysawy, niski i zgarbiony, na pierwszy rzut oka sympatii nie budził. Gdy skądś wytrzasnął plamiste, w kolorze khaki nakrycie głowy, noszone przez białych najemników w Rodezji, oraz wysokie buty amerykańskich pipelinerów, gęba się sama otwierała do śmiechu.

Przy stole siedzieliśmy razem z Hindusami. Krasnal był spostrzegawczy. Nie uszło jego uwagi, że do wszystkich potraw dodawali podwójne ilości przypraw. Przede wszystkim pieprzu i piekielnie ostrej małej papryki. Najbrzydszy z nich uchodzący za największego rozpruwacza serc czarnych i czekoladowych dam, twierdził, że jest niezwykle pomocna przy dżigi-dżigi. Obywatel kraju Kamasutry wiedział chyba, co mówi. Krasnal zastrzygł uszami i następnego dnia, płacząc rzewnymi łzami i często zapijając coca-colą, zaczął wstępować w ślady Hindusów.

W najbliższą sobotę całą paczką udaliśmy się do „Costein Club”. Sznur samochodów tarasował wyboiste chodniki, znikając w mroku obrośniętych pokracznymi parterowymi lepiankami sąsiednich niebrukowanych uliczek Kaduny. Zapach moczu i perfum. Tych dobrych. Chypre, Chanel 5, Antilope. Dziesiątki pięknych, bardzo pięknych dziewczyn. Przy drzwiach wejściowych ponure draby napierają na każdego tak, że musi się o nich otrzeć. Znudzona megiera sprzedaje karty wstępu. Dwa naira. Po zapłaceniu pomagier megiera przybija w okolicy kciuka prawicy gościa kapiącą od tuszu pieczęć. Tusz wysycha błyskawicznie. Nikt na lewo nie wejdzie. A jeśli nawet, to niepokalana czystość dłoni, go zdradzi. Doskonałe nagłośnienie, super-hiper-wzmacniacze, sprzężone z baterią kolorowych świateł, i parosobowy zespół muzyczny, który nabawiłby kompleksów bywalców różnych jam-session. Parkiet to zabetonowany placyk pod gołym niebem, obstawiony osłoniętymi dachem ogrodowymi stolikami i metalowymi składanymi krzesłami. Od czasu do czasu mrok rozjaśnia błysk flesza. Kolorowe polaroidowe zdjęcie gotowe jest w parę minut. Stoliczków dużo. Tam gdzie siedzą biali, wypełniają je butelki piwa „Star”. Drogie. Za dziesięć piw można mieć dziewczynę. Każdą. Każdą z tych, co tu przyszły. Nawet Patrycję. No, ona kosztuje dwa — trzy więcej. Jest piękna, urzekająco młoda, zgrabna i kształtna jak antylopa, jak gazela jak ważka. Twierdzi, że nie jest czarna. Pokazuje równiutki, prawie niewidoczny ślad nacięć na policzkach. Fulanka z Dahomeju. Mówiła po francusku lepiej niż po angielsku. W Lagos jest o tej porze roku za gorąco, więc przyjechała tutaj. Zbiera na studia. Utrzymuje całą swoją rodzinę. Ojca, jego dwie żony i kilkanaścioro rodzeństwa. Za białymi nie przepada, ale lubi ich dosyć. Paru, nawet chciało ją wziąć za żonę, tak jak tę hebanową eks-modelkę z Jamajki, z wieloma długimi warkoczykami na głowie, którą można prawie co dzień spotkać ze szczurowatym białoskórym mężem na basenie hotelu „Durbar”. Patrycja papierosów nie pali i alkoholu nie pije. Szyjkę butelki piwa, tylko dotyka ustami, szklanek nie podają. Metalowe kapsle otwiera błyskawicznie. Własnymi zębami.

Krasnal w „Costein Club” sensacji nie wzbudził, ale pewne zainteresowanie nawet owszem. „Czekolady”, z którymi omawialiśmy właśnie najważniejsze zagadnienia polityki międzynarodowej, zgodnie uznały, że tacy jak nasz szef są szczególnie mile przez nich widziani. Człowiek niewiele się namęczy i swoje ma. Słyszając to, niestety, wstyd przyznać, popełniłem podłość. Zawsze byłem przeciwny zarabianiu pieniędzy za nic. W tłumie nie zaangażowanych jak na razie bywalczyń klubu wyłowilem odpowiednio barczystą i muskularną kandydatkę. Widząc, jak szef wodzi za nią wzrokiem uznałem, że jest w jego guście. W tańcu zreferowałem krótko, czego mój przełożony od niej oczekuje i za co ja gotów jestem zapłacić podwójne honorarium. Inteligentna dziewczyna zaskoczyła szybko. Wystartowała fachowo. Po jakiejś godzinie rozanielony Krasnal, wtulony w jej dość pełną postać, z miną walecznego toreadora opuścił klub.

Przez następny tydzień dyspozycje wydawał z domku, gdzie mieszkał — bo „Montubi” zafundowało szefowi ILF luksusowy, prefabrykowany z blachy aluminiowej wolno stojący pawilon — wyłącznie telefonicznie. Mnie, ponieważ żadne łajdactwo się na dłuższą metę nie ukryje, przekazał przez osoby trzecie polecenie, abym pakował manatki i *paszoł won*

natychmiast, bo więcej na oczy nie będzie mnie oglądał. Na takie dictum walizkę przygotowałem, ale na wszelki wypadek wolałem odczekać. I słusznie. W miarę jak znikwały siniaki po ranach bitych, tłuczonych i gryzionych zaczął pierwotną decyzję zmieniać. Szef nie miał zresztą żadnego dowodu, że to właśnie ja powiedziałem jego pogromczyńi o konieczności dokonania pewnych niezbędnych czynności, jeśli będzie chciała obudzić w kliencie Iwa. I że on to lubi. Uprowadziłem ją również, że na początku będzie udawał, że jest oburzony i że się będzie bronił. Czarna kariatyda pozorowany opór złamała błyskawicznie. Byli tacy którzy tą parę widywali jednak jeszcze później.

Godziny, dni, tygodnie mijały bliźniacze, upiorne, wypełnione upałem, tęsknotą, brakiem jakiegokolwiek zajęcia. Byle przetrwać. Jeszcze tylko dziś, jeszcze tylko do najbliższej poczty z kraju, jeszcze tylko do końca tej butelki whisky i do połknięcia ostatniego haustu dziennej porcji *gadziagi*. Na budowie coś powoli zaczynało się ruszać. „Montubi”, dopingowane przez inwestora, czyli National Nigerian Petroleum Corporation, cisnęło wykonawcę robót budowlanych — nigeryjską firmę „Oyedemi” z Kaduny, Jej właścicielem był łysawy, gruby Włoch. Widziałem go tylko parę razy. Znacznie częściej spotykałem się z Carlem, siostrzeńcem i totumfackim właścicielem. Trzy czwarte swego życia, przemieszkał w Afryce, biegle mówił paroma miejscowymi narzeczami i kłął we wszystkich językach Nigerii. Kiedyś, wypiwszy nieco za dużo, zaczął z łezką w oku wspominać kumpli, którzy zginęli w Owerri. Generał Ojukwu płacił dobrze. Carlo był specem od *Ogbunigwe*, diabelskich stożkowatych min. Starczyło parę kilo dynamitu, umieszczone w wąskiej części zbitego z desek stożka. Resztę wypełniała zbieranina zardzewiałych gwoździ — pękniętych łożysk, połamanego na drobne kawałki metalowego złomu i zwykłych kamieni. *Ogbunigwe* umieszczano na drzewie, przymocowaną do pnia na wprost prowadzącej wśród dżungli ścieżki, którą mieli nadejść tamci, odziani w mundury sił federalnych, *Ogbunigwe* odpalana z bezpiecznej odległości, siała śmierć. Zmiała życie z rykiem i gwizdem pędzącego żelastwa. Obszar zagłady, zamknięty między ramionami prostokątnego trójkąta, sięgał 150-200 metrów. Odmiana XX-wiecznej kartaczożnicy nieźle przysłużyła się secesji Biafry. Po zakończeniu wojny Carlo na parę lat gdzieś znikł i dopiero niedawno wrócił. W rejonach swojej byłej działalności wojenno — innowacyjnej wolał się nie pojawiać. Z zapalem polował na dzikie ptactwo i antylopy, kupiwszy za 4 czy 5 naira licencję. Sukcesy odnosił skromne. Zwierzyny jest w Afryce coraz mniej. Bezlitośnie tępione *czop-czop* jakie takie schronienie znajduje tylko w ogrodach zoologicznych i rezerwach. Busz i sawanny są puste, przeraźliwie puste. przybysze ze świata, którym udało się zarezerwować miejsce w kaduńskim hotelu „Hamdala”, wynoszą zgoła inne wyobrażenie. U handlarzy afrykańskimi pamiątkami, rozłożonymi na chodnikach koło parkingu, mogą dostrzec sterty skór drapieżników i wielometrowej długości skalnych pytonów. Cenione są po kilkadziesiąt naira — a jeśli *bature* nie umie się targować, i więcej. Idą jak woda. Kupuje co drugi. Przyznaję że skrucha, że też uległem psychozie przytargania w rodzinne pielesze afrykańskiego trofeum. Brązowa, z ciemnymi jakby zaciekami skóra dusiciela zajmuje teraz całą długość po przekątnej, bo inaczej się nie mieści, ściany. Bojownicy ochrony środowiska po tym wyznaniu na pewno zakwalifikują mnie jednoznacznie. Cóż mam na swoją obronę? Ano, tylko to, że najprawdopodobniej skórę zdarto z gada w miejscowości o nazwie Rafin Gusa. Jest tam hodowla pytonów i działa wielu rzemieślników wyrabiających torebki, portmonetki i paski bardzo cenione przez europejskie elegantki. Właściciel hodowli mięso dostarcza na rynek wewnętrzny i do reprezentacyjnej chińskiej restauracji. Gady mniejsze, ale w postaci bardziejżywionej, spotykałem dość często, prawie codziennie. Szczególnie kobry lubiły się wygrzewać na skraju pasa montażowego rurociągu lub na poboczu dróg. Początkowo bezlitośnie miażdżyłem je kołami *campagnoli*. Później dałem spokój. Niech chociaż gady mają tu szansę przetrwania. Przez ciekawość zagadnałem kiedyś zatrudnionego przez rząd nigeryjski polskiego lekarza, mającego dostęp do oficjalnych statystyk. Zmarli na skutek ukąszenia przez węże stanowią znikomy procent w stosunku do liczby ofiar... wypadków samochodowych. Naprawdę groźne są różne pasożyty, wirusy, bakterie oraz roznoszące je insekty. Jedynym warunkiem przetrwania, istnienia i działania przez dłuższy czas w grobie białego człowieka, jak za czasów Conrada nazywano Afrykę Zachodnią, używając określenia z „Jądra ciemności”, było nieposiadanie wnętrzości, własnych oczywicie. Do dziś jeszcze przeszło jedna czwarta ludzi na tym kontynencie umiera z powodu braku wody do picia.

Stanley opisał swoją ekspedycję na odsiecz Eminowi Paszy urodzonemu w Opolu jako Edward Schmitzer, odciętemu przez powstanie Mahdiego, W czasie wszystkich podróży po Afryce, odbywanych na piechotę lub w murzyńskiej pirodze, w czasie których przemierzył około

39 000 kilometrów, w której uczestniczyło setki bosych żołnierzy i tragarzy, tylko dwóch z nich było ukąszonych przez gady, a i to nie śmiertelnie.

Przygotowania do próby hydraulicznej pomiędzy rzekami Guararą a Sarkin Pawą szły pełną parą. Straciłem zbyt wiele czasu przy sprawdzaniu zamontowania na drugim końcu odcinka rurociągu — komory odbioru czyszczaka i aparatury pomiarowej. W drodze powrotnej do Izom gnałem campagnolę, ile sił, aby dopaść campu przed nocą. Pod zwrotnikami ciemność zapada prawie natychmiast po zachodzie słońca, a obie lampy rozbiłem poprzedniego dnia w trakcie pokonywania niedużego bagna. Za mną snuł się warkocz kurzu wsiąkającego w busz. Redukując biegi, gdy wjeżdżałem na strome, ostro nachylone zbocze, zobaczyłem przed sobą parę wydłużonych cieni przebiegających jeden za drugim niedawno zasypany wykop, odróżniający się od bujnej roślinności niską trawą. Odruchowo zakręciłem okna i zablokowałem drzwi. Cienie były duże i było ich coraz więcej. Hieny? Z niepokojem obserwowałem wychylony niebezpiecznie w prawo wskaźnik temperatury. Co będzie, jeśli zagotuje się woda w chłodnicy? Uzupełnić ją mogę tylko jak zatrzymam wóz i podniosę maskę. Włączyłem napęd terenowy i dodałem gazu. Campagnola, zrzucając raz po raz tyłem, stawała dęba. Silnik zawył donośnie, odzywając się echem odbitym od przeciwległego wzgórze. Cienie wyraźnie drgnęły, stanęły na ułamek sekundy, po czym zaczęły pospiesznie wskakiwać na zwisające konary drzew i liany.

Carlo do małąp nie strzelał. Rozcięte w pół, uwędzone, można było kupić na każdym targu. Bardzo przypominają wysuszone trupki zmarłych z głodu dzieci. W Biafrze one właśnie stanowiły widok najczęstszy. Próby hydrauliczne przeprowadzała ekipa Chiki. Liczyła parę osób. Opalony na brąz, z rozwianą, siwiejącą czupryną dwudziestoletni dynamitard Franco, sterany życiem, mały, zasuszony ślusarz Bartolli, i wielki arystokrata spawacz Sala wraz z bratem. Z wszystkimi polubiłem się bardzo. Początek dała choroba oka Bartollego. Trzeci dziesiątek lat koczował już po całym świecie. Najdłużej siedział w Brazylii i Argentynie. Portugalskie i hiszpańskie przekleństwa opanował po mistrzowsku,. Gdy jednak od dwóch dni bez przerwy kłął, nieco się zaniepokoił. Jakiś owad ugryzł go w oko. W gałkę prawego oka. Byliśmy bezradni. Uszkodzone radio trzeszczało przeraźliwie przy każdej próbie nawiązania łączności, a baki wszystkich campagnoli były puste. Nowej dostawy paliwa spodziewaliśmy się bezskutecznie z dnia na dzień. Wiedziałem, że należy działać szybko, bo inaczej oko można będzie spisać na straty. Bartolli na żadne zabiegi zgody nie wyrażał, ale powoli z bogatego asortymentu hiszpańsko-portugalskich przekleństw przechodził na włoskie. Jego kumple stwierdzili, że to oznaka słabości i pogodzenia się z losem. Wieczorem obezwładniłem przy pomocy pozostałych wijącego się z bólu ślusarza i wyparzonymi aż do białości rękami, kawałkiem zamoczonej w spirytusie waty wydlubałem z ranki w oku ciemny, okrągły, podobny do końcówki długopisu paproch, zarodek robaczego życia. Zaparzywszy sporą garść herbaty, po jej wystygnięciu przyłożyłem Bartollemu kompres. Zbolały, łypiąc groźnie jednym ślepiem zaszył się w kąt. Wychodził na zmianę okładu tylko rano i wieczór. Po tygodniu, gdy nareszcie dotarł do szpitala okulista stwierdził, że oku nic nie zagraża i kuracja została zaaplikowana prawidłowo. Mój autorytet urósł ogromnie. Następnym klientem został Camillo. Wielki, brodaty i kudłaty łeb, krótkie nóżki, tubalny głos i rozdarte serce. Przeżywał zdradę ukochanej, która, gdy wrócił z blisko dwuletniego kontraktu w Arabii Saudyjskiej, powitała go na progu z całkiem nowym niemowlęciem. Zarabiał pieniądze na mercedesa, aby moralnie zgnoić rywala i błysnąć przed nową kandydatką na żonę. Zapragnął ją znaleźć w Polsce. Postanowienie powziął, zanim się jeszcze poznaliśmy. Niestety, nad Wisłę wybrał się w czasie zimy stulecia. W jego rodzinnej Kalabрії śniegu prawie nigdy się nie widzi. Z trudem przedostawszy się przez zasy i zwały śniegu, szczękał zębami na hotelowym łóżku. Nie wiem, czy znalazł stosowną kandydatkę, bo po jego powrocie z urlopu już się nie zobaczyliśmy. Został skierowany na inny odcinek rurociągu. W wypadku na budowie doznał otwartego złamania ręki, a resztę załatwił tęczec. Biedny, poczciwy Camillo.

Z braćmi Sala była zupełnie inna historia. Zupełnie do siebie niepodobni — bo jeden wielki, tłusty i potężny nosił na grubym łańcuchu złoty, ciężki amulet na włochatej piersi oraz parę kupionych na bazarze w Bagdadzie dukatowych sygnatów, a drugi szczupły i drobny blondynek — byli spawaczami. Pierwszy uchodził za *artista saldato*. Najtrudniejsze spoiny, zupełnie beznadziejne poprawki, umieszczone na spodzie zalanej podskórną wodą rury, precyzyjne wspawanie do rurociągu parotonowych zaworów - powierzano tylko jemu. Razem z bratem, stanowili parę nierozłączną. Z campu wyjeżdżali pierwsi, wracali ostatni. Żadnej fuchy nie przepuścili nigdy. Pewnego razu wrócili wcześniej, mocno wzburzeni. Gestykulując i

wykrzykując składali relację o jakiejś madam Leone. Reszta ginęła w potoku płynnej włoskiej wymowy. Madam Leone? Ki diabeł? Czyżby małżonka eks-prezydenta Włoch donia Vittoria Leone odwiedziła budowę? Biedacy dostali słonecznego udaru. Gdy nareszcie dali po blisko kwadransie dojść do słowa komu innemu, wchłaniając ze zdenerwowania podwójną porcję spaghetti, udało się wyjaśnić, co się wydarzyło. Bracia pozostawili campagnolę w cieniu dużego drzewa, sami zajęci byli obcinaniem i wpasowywaniem do rurociągu tak zwanej wstawki. Do samochodu podchodzili co jakiś czas, aby łyknąć nieco lodowatego płynu z termosy, w nim też położyli na przednim siedzeniu niedomknięty aluminiowy pojemnik z obiadowymi sandwiczami. Za którymś powrotem osłupieli. Z otwartych drzwiczek sterczały tylne potężne łapy, długi ogon i tułów płowożółtego koloru, Reszta zajęta była degustacją. *Artisto saldaturo* zachował zimną krew. Zdając sobie sprawę, że uciekając nie ma najmniejszych szans ująć pogoni, o ile madam Leone zdecyduje się na takową, postanowił przeczekać. Obaj cofnęli się do stanowiska roboczego, otworzyli zawory butli z gazami acetylenem i tlenem. Zapalili palnik do cięcia i z niepokojem obserwowali manometr wskazujący ciśnienie gazu. Mieli go bardzo, bardzo niewiele. Na szczęście sandwiczów też nie zabrali zbyt dużo. W upale jeść nie bardzo się chce. Madam, skończywszy przekąskę, spróbowała pazurami jakości wykładzin siedzenia i grzebnawszy pogardliwie tylnymi łapami niezbyt spieszenie odeszła. Bracia, ciągnąc za sobą węże ciągle płonącego palnika, skokiem dopadli zbawczej campagnoli. Carlo, słysząc po paru dniach tę opowieść, kręcił sceptycznie głową, aczkolwiek nie wykluczał możliwości spotkania w tych rejonach lwów. Emir Abudzi za lat swojej młodości polował na nie dość często. Bracia postanowili nie opuszczać campu bezbronni. Na najbliższym targu sprawili sobie dwie maczety Dragan 130 made in Poland i stale wozili pod siedzeniem. Ja mniej więcej w tym samym czasie wyhandlowałem od ojca Asibi łuk z pięcioma strzałami w bambusowym, mocno przez jakieś robaki nadgryzionym kołczanie, ale wozić go ze sobą nie zamierzałem. Przez cały czas pobytu w Izom stanowił ozdobę mego kontenerowego salonu i skuteczne narzędzie wpędzania białych dżentelmenów w kompleksy, tych, co to już prawie za herkulesów uważają się w pierwszej kolejności. Nikt z nich nie był w stanie nie tylko oddać prawidłowego strzału z łuku, ale nawet go napiąć. Łuk wyglądał raczej niepozornie. Nieco grubszy od kciuka, zwężający się na końcach brunatny patyk. Strzały z cienkich, pustych w środku bambusowych prętów miały długość 65-70 centymetrów. Do jednego końca wąskimi pasemkami rafii przytwierdzono płasko wyklepane, z dwoma odstającymi, wygiętymi w tył zadziarami żelazne ostrza. Każde inne. I każde miało z obu stron parocentymetrowej długości kanałik wypełniony jakąś zastygłą rudobrazową masą.

Ojcem Asibi, młodej, energicznej, z pupką małą jak piąstka, czarnej osóбки, robiącej bujną karierą na campach Montubi był stary, zgarbiony, wyglądający na zastrachanego Murzyn. Miał pokrytą siwawym nalotem czuprynę i sękate powykręcane reumatyzmem i pokryte bliznami bosa stopy. Zanim przyjechałem do Izom, stacjonowały tam kontenery brygad budowniczych części liniowej, gdzie Asibi obsługiwała radiostację. Angielskim władała biegle. Ja byłem w staniej ofiarować jej posadę znacznie mniej atrakcyjną. Byłem sam jeden. Radiostacji zaś jeśli wichura nie zerwała anteny i jeśli akurat pracował generator prądu, używałem raz na parę dni. Asibi zajmowała się więc utrzymywaniem porządku w moim kontenerze, robieniem zakupów na targu i od czasu do czasu zagotowaniem wody na herbatę. Pachnąca czystością codziennie przychodziła do pracy w świeżej, elegancko odprasowanej bluzce, z pracowicie upiętą fryzurą, kilkunastu twardymi warkoczami, tworzącymi na głowie coś w rodzaju hełmu. Przyrządzając posiłki nie przestrzegwała elementarnych zasad higieny. Nie znała tego pojęcia. O interesy rodzinnego klanu dbać umiała dobrze. Sama zjawiwszy się natychmiast, jak tylko pierwsze kroki postawiłem w Izom, następnego ranka przedstawiła mi już ojca i stryja, dość zdecydowanie wnioskując, że muszę ich właśnie zatrudnić, jako strażników budowy, i mojej osoby w szczególności. Tuaregów pod ręką nie było.

Kandydaci na straż przemysłową przymilnie odślaniali w uśmiechu spiłowane na stożek zielonkawę zęby. Zawieszane na szyjach połyskujące nowością metalowe krzyżyki świadczyły, że mam do czynienia z chrześcijanami i że anglikański pastor w Abudza dość energicznie prowadził działalność misyjną. Ale ręką ludzką dokonana obróbka uzębienia mówiła sama za siebie. Pogańscy Gwari, do niedawna jeszcze uważani za niewolników Hausa, nawracani byli, nie zawsze po dobrej woli, na prawdziwą wiarę w Chrystusa lub Mahometa od kilkudziesięciu zaledwie lat. Według opinii byłego męża Asibi, nauczyciela w wzniesionym z gliny gimnazjum, spiłowane zęby moich opiekunów budziły cień nieufności. Pochodził również z plemienia Gwarina i wiedział sporo na temat kanibalizmu swoich przodków. Chcąc dyskusję zakończyć efektywnym i miażdżącym argumentem eks-mąż Asibi dobił mnie absolutnie: „Przecież katolicy

w trakcie komunii też świętej jedzą ciało swego boga". Zbaraniałem zupełnie. Mimo wszystko postanowiłem rozpocząć starania o prawo posiadania broni. Najbliższą noc miałem z głowy. Zgasiwszy światło śledziłem, co robią moi opiekunowie. O 2-3 nad ranem, wydawszy parę parsknięć, stanął, opróżniwszy cały zbiornik paliwa, generator. Przy zamkniętych oknach dawało się wytrzymać kwadrans, no, powiedzmy, pół godziny. A co dalej? Dwa dziadki, jak tylko usłyszały ruch w kontenerze, natychmiast podbiegały do drzwi, przyjmując postawę z gatunku prezentuj broń. Czuwali dobrze. Operacja nalewania paliwa musiała trwać co najmniej kilkanaście minut, zmylić ich czujność nie mając któregoś za plecami było nieprawdopodobieństwem. Zlany potem przeżywałem przedsmak hiszpańskiej izby tortur. Mieszkać w buszu można tylko w glinianej chacie, w kontenerze możliwa jest egzystencja tak długo, jak długo pracuje klimatyzator. Żeby tak chociaż znaleźć metodę pozbawienia ich łuku i maczugowatego toporka z płaskim, rozklepanym na kształt liścia ostrzem. Powoli uchyliłem drzwi i zaświeciłem latarkę. Oczywiście są. Parę kroków dalej, zamarte bez ruchu czarne, czarniejsze od mroku nocy gnomy. Nie, sam do nich nie wyjdę. Dobry duch podsuwa rozwiązanie. Ależ oczywiście tylko jedno. Zaprosić dziadków na *czop-czop*. To słowo ja i oni rozumieliśmy jednoznacznie. Czynień niezbędne przygotowania. W połówce kontenera, do której się wchodziło bezpośrednio z dworu, urządziłem coś w rodzaju jadalni i kuchni jednocześnie. Odnajduję niedopaloną świeczkę, otwieram jakieś rybne konserwy i wyciągam najstarsze zapasy chleba. W kącie obok stołu rozkładam czystą gazetę. Wiem z poprzednich doświadczeń, że dziadki jedzą w nieco innej niż ja pozycji. Dobrze oświetlona świeczką i latarką ucztą okazuje się dobrym magnesem. Zachęcające ruchy ręki i powtarzane w najcieplejszych tonacjach: *czop-czop, czop-czop, czop-czop* robią swoje. Dziadki dają się zwabić. Mordercze narzędzia dzierżą kurczowo zaciśnięte w dłoniach. O odłożeniu ich na bok nie ma nawet mowy. Z niepokojem obserwuję, jak w oczach topnieje *czop-czop*. Zapasy miałem skromne. Zdesperowany, podjąwszy ryzykowną decyzję, brnę dalej. Na gazecie ląduje flaszka piwa „Star”, a ja chyłkiem wymykam się na zewnątrz oraz dokładnie zamykam i bloкуюję drzwi. Okien z zapadkową dźwignią tamci na pewno nie otworzą. Rozlawszy drżącymi z emocji rękami z połowę kanistra, napełniam cholerny zbiornik. Parę ruchów korbą i szybki bieg do drogich gości pozostawionych samym sobie. Czort wie, co takim może do głowy przyjść. Nic nie przyszło. Upili się dokładnie. Śpią objęci jak aniołki, porzuciwszy na podłodze broń. Ulega konfiskacie na resztę nocy. Rano obrywamy wszyscy burę od Asibi. Tato i stryjcio największą. Niewyraźnie tłumaczę, że ja właściwie chciałem kupić ten łuk i toporek. Asibi pieniądze nie interesują. Natomiast oboje z ojcem pożądliwie spoglądają na moją wzorzystą i lśniąca satynową piżamę. Pożegnałem się z nią bez żalu. Ostatecznie w Europie też są kraje, gdzie jeszcze niedawno wyjście w krótkich spodniach na ulicę kurortu uważane było za zdecydowany brak kultury, ale w piżamie można było spacerować reprezentacyjną promenadą pod palmami. W najbliższą niedzielę przeto przywódca klanu Asibi występował na mszy niezwykle godnie. Musiał tylko trochę podwinąć nogawki i przewiązać się w pasie kawałkiem sznurka. Z wdzięczności, aczkolwiek nie bez żalu, bo łuk długo trzymał w rękach i wyraźnie pieścił palcami, zanim mi go przekazał, udzielił mi lekcji posługiwania się nim. Zdumiewająco skuteczne i sprawne narzędzie. Ustawiwszy jako cel pustą puszkę po oleju, stary z odległości dobrej setki metrów raz po raz przeszywał ją strzałami na wylot. Żelazne groty przebijały lekko całowej grubości deskę.

Witold Stanisław Michałowski

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT NOT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociągi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 02-03-2007 Ostatnia zmiana: 02-03-2007)
Oryginał. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5282>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl